

WIEK I LUSTROWANY

Dodatek niedzielny

Raz na tydzień



nieklamana dumą spoglądać można na pewien odłam literatury społecznej. Mamy w niej odbicie wszystkich „prądów”, jakie obejmują obecnie przycwilizowaną Europę; więc pornografii i dreszczów nadszłowieka 30%, wiarołomstwa 30%, dekadentyzmu i secesyi 20%, etyki „nadludzkiej” 10% i 10% defraudacyi. Defraudacja i defraudant — to stara historia pod nowym tytułem. Dawniej nazwanoby go po prostu „złodziejem”, potem jednak przyszła odświeżona terminologia z „plajtą” i „defraudacją”. To już wytwór kultury. Zrzeszajmy się — wołano — twórzmy spółki, banki, akcje, no i urodziła się plajta a po niej defraudant.

Czytałem recenzje o „Małych duszach”, a w niektórych z nich zaskoczyły mnie osobliwe zagadnienia etyczne. Te pytanki z zakresu moralności praktycznej są także wytworem „kultury” i stanowią jedną z miłych niespodzianek w literaturze. „Jeżeliś ukradł, czy powinienes oddać?” — zapytuje się z nienacka wolny moralista. „Czy żona i dzieci mają obowiązek naprawić winy, które popełnił ojciec?” Meergold w „Małych duszach” powiada, że dyrektor-złodziej powinien być utrzymany na stanowisku, a sprawa „zamazana”, ponieważ na wykryciu nadużycia ucierpiałoby akcje banku i główni akcyonariusze (a pomiędzy nimi Meergold) byłiby narażeni na straty i na brak zaufania. A i oni także żyją z banku, tak jak i dyrektor, tylko mają „delikatniejszą rękę”.

„Meergold — powiada K. Zalewski — ma spryt do handlu i spekulacyi; gdy się zzbogaci cudzą krzywdą, to zawsze pozostanie z kodeksem kryminalnym w zgodzie. Meergold zna lepszy sposób dostania cudzych pieniędzy, niż przez kradzież z kasy. On je tam jakoś wyciągnie od akcyonariuszy na wieczysty lokal do własnej kieszeni i jeszcze wmówi w nich, że jest ich dobrodziejem. Owacy mu będą urządzać, adresy dziękczynne do niego pisać. Belski (dyrektor) tego wszystkiego nie potrafi. Gdy się taki dyabłu uda, to może być lotrem skończonym, ale robota jego jest gruba, bo rękę ma ciężką. Rzecz naturalna: do korda i pługa od wieków przywykła.” A tu nie można być kowalem, ale jubilerem i zegarmistrzem, jakby powiedział dziadzio Gancpomader z „Pająków” Klemensa Junoszy.

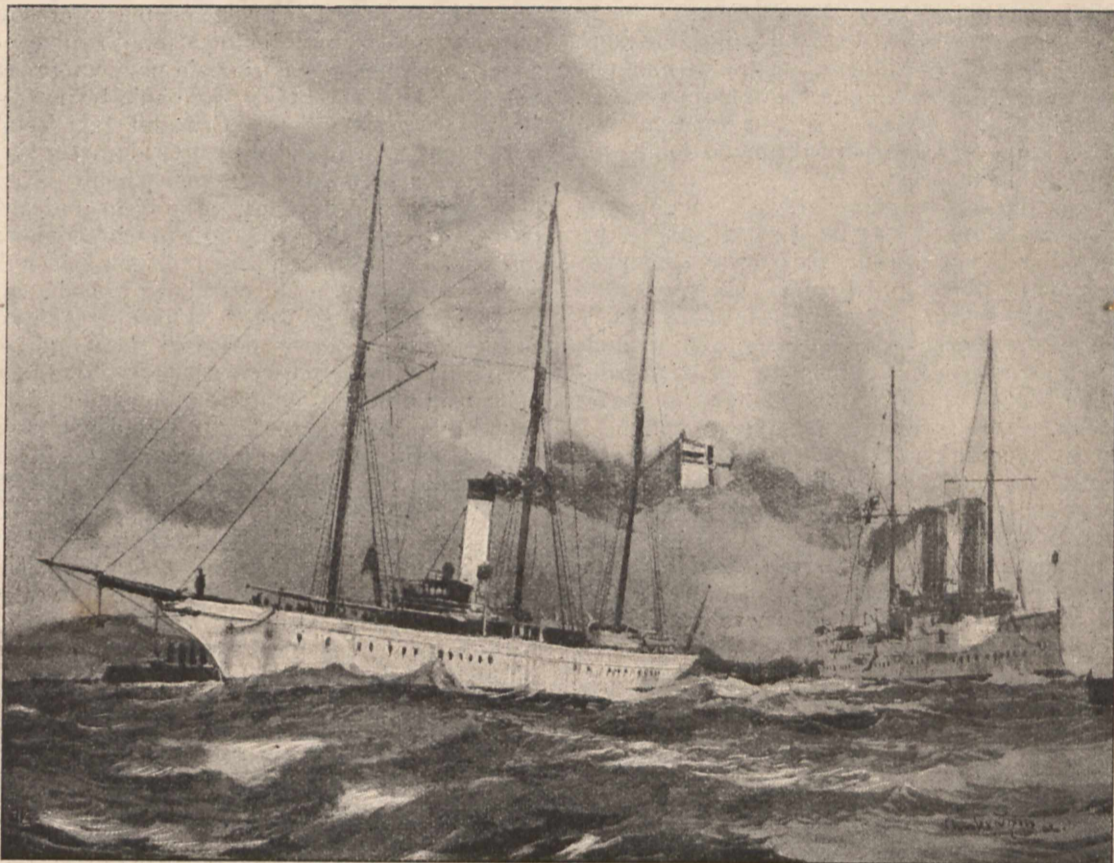
I oto odsłania się rzeczywista „małość” tych dusz pod kątem widzenia etyki praktycznej, tej etyki, która zaleca chowanie pokoleń z silnymi pięściami i szczękami buldoga do walki o byt, a misterną strukturą i delikatnym węchem do omijania z daleka kodeksu. Kodeks, o ile wmięsza się w sprawę, i detektyw, o ile położy swą rękę na sumieniu człowieka — oto przedstawiciele moralności. Poza tem można śmiało powiedzieć synowi: „Oto, gdym zaczynał karierę, miałem pięć palców, a dziś uczciwą pracą, dorobiłem się milion! Bierz ze mnie przykład! Milion! Gdyby odkładać rocznie po 10,000 rub. (a kto może czynić od razu takie oszczędności), potrzebaby na uskładanie miliona, licząc z procentami, coś około 80 lat!.. Jedyne wyjaśnienie takiej fortuny — to szczęśliwa spekulacja i obrót umiejętny kapitału. I oto zaraz wypływa potrzeba „szczęk buldoga” i „misternej jubilerskiej roboty”. Ale tu nic za to niema do czynienia prosta, gruba filisterska moralność, ta „uczciwość”, co to jest synonimem głupoty w ustach „silnego człowieka” i „niepodległego etyka”.

Silny człowiek, a takim jest naprzykład lichwiarz-finansista, gdy mu „klient” nie zaprze zgubionego weksłu, gdy odda pożyczkę, wziętą na słowo, nazwie tego moralistę człowiekiem „honorowym” a w duszy bezdennie głupim. Jeśli taki człowiek zażąda pożyczki, da mu ją chętnie nawet za drugim podpisem „tylko żony”, ale uważać go będzie zawsze za „małą duszę”, za istotę bez polotu i przyszłości. Przy sposobności też podwyższy mu procent.

Silny człowiek, o wyrobionych łokciach i rozwiniętych płucach do dęcia o sobie w surmy reklamy, wprawny do misternej roboty intrygi, plotki, podstępny, sto razy zepchnie i zdepeze słabego, a gdy ten ani nawet warknie, ani ukąsi, a co gorsza odda chlebem za kamień, łatwy zwycięzca powie przy sposobności o zwyciężonym: pocziwy niedołęga a

warzysze, chcący ocalić złodzieja, który choć piął się na wyżyny, jednak w końcu wykazał „małą duszę”. Słabi i niedołążni — to choćby ta dziewczyna, która nie może zrozumieć, że żona i syn nie mają obowiązku wynagradzać krzywdy, choć korzystali przez lata całe ze złodziejstwa.

Słabi ludzie to żer dla silnych i doprawdy, gdy

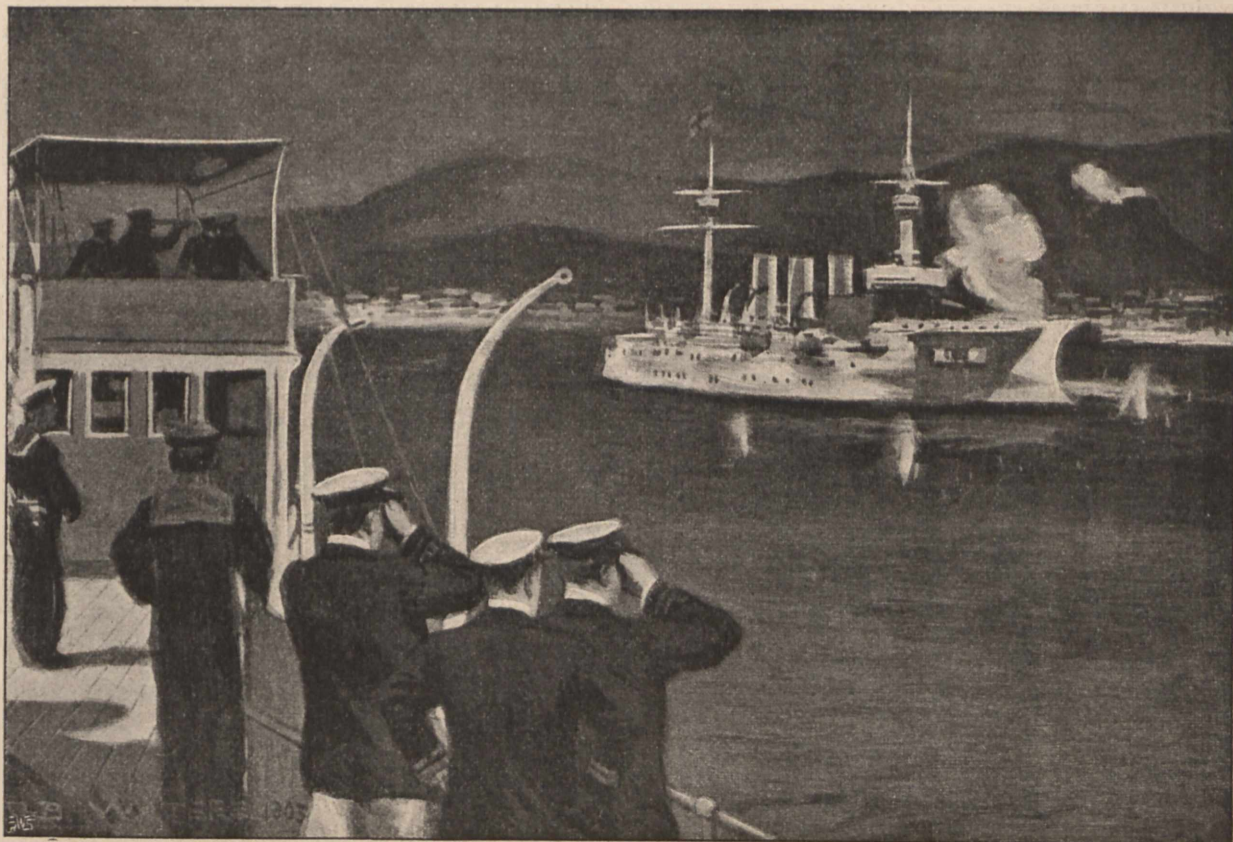


Statek wenezuelski Restorador, pochwycony przez łódź działową Gazellę.

w duszy pomyśli sobie: idyota! Ani mu przez myśl nie przejdzie, iż rzekomy słaby niedołęga nie chciał ujmować broni, którą się brzydził, i której używania wzbraniała mu — jego filisterska etyka.

Silny człowiek, ta „wielka dusza” z punktu widzenia etyki praktycznej, to Meergold i jego to-

życie na pewnym punkcie odstąpi już swoje tajemnice, przychodzi ochota powiedzieć synowi: Otom zaczynał karierę z pięcioma palcami i z nimi kończę. Palce te chwyta już kurez starości, alem cię wychował i daję ci — dobre imię. Nie naśluduj mnie mój synu, lecz miej silne łokcie i silne szczęki, a



Blokada angielsko-niemiecka w La Guayra.

wiejką i giętką duszę... Pluń na moralność filisterską!...

Nie, stokroć nie!.. Choć przychodzi ochota. „słaby człowiek“ i filisterską moralnością zarażona „mała dusza“ tego nie powie. Nie powie nawet, choć mu prawie będą wyrafinowani etycy:

— Uczciwy „przeciętnie“ człowiek to jednostka bierna, negatywna, nie zdolna do żadnej śmielszej akcji; to ofiara sugestji i wpojonych pojęć, to bezświadome echo tradycji, to marynetka. Kto działa, nie może liczyć się z drobnymi przeszkodami; kto zakreśla sobie koła szerokie, nie może piętrzyć dookoła siebie wązkich studzien. Jeśli widzę w ręku słabem środku, których ja mogę użyć skuteczniej dla dobra publicznego (tak zwykle mawiają ludzie silni), to je biorę, jeśli skuteczniej mogę działać na niwie publicznej od mego przeciwnika, to go spycham. Na tem zyskuje tylko ogół.

Tak samo rozumują Meergoldowie, którzy, przekazawszy dzieciom miliony, uzbierane od słabych, umieją nieraz stworzyć niejedną instytucję „dla dobra publicznego“. I oni też z przekąsem i ironią umieją kiwać głowami:

— Poczciwy człowiek!... poczciwina!..

Mimo to wszystko, „człowiek słaby“, zdeptyany i wydrwiony, a jednak zawsze silny tą „bezwiedną, wszczępioną moralnością“, nie powie synowi swemu, gdy mu dać nie może już nie miliona, ale nawet tyśiąca: „Pluń na moralność, bo patrz co było ze mną!“. Nie, on krzawić będzie dalej miłość bliźniego, poczucie uczciwości i honoru, wiarę w moc poświęcenia i ofiary, ufność w sprawiedliwość wyższą. Będzie on wiedział, że wcielenie ideału w życie jest niemożliwe, ale i to także, iż dążenie do niego nie jest grzechem i „słabością“.

Z przyjemnością też w recenzjach o „Małych duszach“ wyczytałem tu i owdzie protest, nie przeciw samej sztuce, lecz przeciw niektórym, nasuwającym się z niej wnioskom. Protest taki spotkałem tam nawet, gdzie nieraz słyszałem nutę nieco drwiącą pod adresem poczciwych filistrów, roztkliwiających się nad poświęceniem i ofiarą, a zarazem zalecającą silne bary i szczęki, jako panaceum szczęścia na ziemi. Teraz jednak czytamy:

„Gdyby życie tak (t. j. egoistycznie) rozwiązywało zagadnienia moralne i gdyby sankcjonowała jego wyroki etyka społeczna, to powiedzielibyśmy, że moralność ludzka, a z nią szczęście powszechne, jest nad przepaścią. Nic już odtąd wśród nas nie masz, ani sprawiedliwości, ani ekspiacy, ani poświęcenia, ani solidarności — jeno jeden wzgląd: „opłaci się“ albo „nie oplaci się“.

Ale — nie uonośmy się. Na szczęście jest inaczej. Jeszcze łajdactwo nazywa się łajdactwem, jeszcze kara następuje po przewinieniu, jeszcze życie nie wyrękoło się wyroków sprawiedliwości, lecz poświęcenia i krzyków oburzenia.

Możemy liczyć, że cokolwiekbądź się dzieje z jednostkami, zasady pozostają te same, które nam Chrystus, księgi Pańskie i mędrzy wszech wieków pozostawili“.

Tak jest, zasady po wsze wieki pozostaną te same, a podstawą ich będzie miłość bliźniego. Żądamy, aby wszyscy ludzie byli siostrami, braćmi w miłosierdziu — lecz do tego jeszcze daleko. Jesteśmy zaś daleko dla tego, że podrzywamy zbyt często z moralności, która nie uznaje silnych i słabych, chyba, że pierwsi zechcą podparć i wspomagać drugich. Wtedy możnaby zalecać silne szczęki i silne bary, bo one nie służyłyby ani do kłaniania i deptania, ani nawet do obrony, lecz do wspólnego łamania przeszkód i wspólnej pracy.

Nie wadziłoby też literaturze, aby miała szukania dramatów w piersiach żony wiarołomnej, lub męża złodzieja, zechciała zajrzeć i w głąb tych istot słabych, które, zdaniem niepodległych moralistów są automatami, nakręcanymi przez wszczępione pojęcia etyczne. Kto wie, możeby tam znaleźli oni także walki i poświęcenia, dramaty i wielkie ofiary. Tylko, że ci „słabi“ nawet płakać głośno nie umieją i niezdolni są do krzyku, któryby wstrząsnął uczciwie nerwami, jak przystało na efektowny dramat. Wtedy małą duszą okazałaby się nawet dusza takiego Meergolda, choć ma on dużo miłości bliźniego — dla swego zięcia dyrektora i dla akcyonaryuszów. Wtedy z wielu „silnych ludzi“ wyłoniłoby się tyluż karyerowiczów, geszefciarzy, reklamiarzy i wielkich łajdaków, a za to w niejednej słabej piersi rozblęsnęłyby prawdziwie wielka dusza.

Do tych kilku luźnych uwag na temat ludzi silnych i słabych, pozwolę sobie, na zakończenie, aby nie zrywać głównej nici, wspomnieć o jednej broni, jaką lubią wojować „małe dusze“. Jest nią tyle razy omawiana i świeżo poruszona przez jednego z moich kolegów w *Wieku* sprawa plotki. Jeżeli Warszawa wyrobiła sobie opinię miasta specjalnie plotkarskiego, to może dla tego, że ma ona szczególnie liczne zastępy próżniaków, odgrywających w głąbie plotki rolę poczty pantoflowej oraz dobrowolnych kolporterów. Ile w tym kolporcie jest ukrytej złośliwości, nienawiści względem bliźniego, perfidy i małoduszności, o tem wie każdy, ale najbrudniejszym zawsze jest źródło.

Z wyjątkiem tych plotek, które rodzi bezgraniczna naiwność i pogoń za sensacją, olbrzymia ich reszta wypływa z zawiści, z chęci szkodenia przeciwnikowi, podkopania jego kredytu, wreszcie zdeptania go i zgubienia w opinii publicznej. Plotkarz zna swoje otoczenie i liczy na pewno, iż jego plotka powtórzona będzie bezkrytycznie lub, co pewniejsza, stanie się stopniowo całą lawiną.

Ta plotka głośna, jawna, bezczelna, choć się jej autor skrupulatnie ukrywa, jest jeszcze lepszą od innej. Można się od niej po trochu bronić, protestować, chociaż się wie, że z niej zawsze coś zostanie. Słuchacze wierzą plotce, która szkaluje, nie wierzą za to stanowczo obronie. Niejednokrotnie zdarzało mi się prostować plotkę. Opowiadano np. że to i owo zrobił I. K., a na dowód przytaczano dzień, godzinę i okoliczności.

— Ależ ja tam byłem właśnie i wszystko to jest nieprawdą!

— To niepodobna — wołano chórem — musiałeś się pan omylić!

Ja musiałem się omylić, nie oni! W końcu podejrzano nawet moją dobrą wiarę.

Gorszą jest jeszcze plotka, szepczona poufnie na ucho z zastrzeżeniem milczenia. Ta się również rozchodzi, lecz rzadko zetknie się z poszkodowanym, który jest tym razem bezbronnym. Wreszcie potężną bronią w ręku „silnych ludzi“ jest plotka i fałsz, opowiadane wprost osobie interesowanej, a przypisujące czyny lub słowa innej osobie, o której zgnębienie chodzi. To już się nazywa zręcznie nawiązaną intrygą, która zapewnia tryumf nad bezbronnym przeciwnikiem. Czasami taki „słaby człowiek“, oszkalowany i oplwany, domyśla się intrygi, ale brzydzi się nią i zbywa milczeniem. Na to także liczy plotkarz i intrygant, albowiem najczęściej następuje tylko słabszym, bo wie, że silniejszy odda mu z nawiązką. Tak, do ludzi silnych należy dziś świat i powodzenie na wszelkich polach, ale nawet „etyka życia codziennego“, która — jak powiedział pewien feljetonista — nie widzi dalej po za koniec swego nosa, zaczyna rozważać, że po nad egoizmem i siłą brutalną jest jednakże sprawiedliwość i „zawsze te same zasady“. Może to przedświt etyki idealniejszej, albo powrotna fala „moralności filisterskiej“. Daj Boże!

Mazur.

W jaki sposób ożeniłem się z Agatą.

Za pozwoleniem! To co opowiedzieć zamierzam, bynajmniej nie jest banalne, jakby się mogło zdawać temu, kto o rzeczach sądzi z ich tytułu.

Nie dalek jak pozawczoraj, kupiłem w handlu butelkę wódki. Wybrałem ozdobioną przesliczną etykietą, na której mistrz pędzla wyobrazil przesliczną dziewczęcę, wygodnie usadowioną na szczycie sierpa księżycowego.

I proszę sobie tylko wyobrazić, w butelce zamiast wódki, znalazła się cienka, pozbawiona wszelkiego smaku lura. To znaczy, że człowiek rozsądny nigdy nie powinien dawać wiary pozorom. Na dowód do jakiego stopnia mam rację, może służyć i fakt, że nie tak dawno, w kieszeni pijanego oberwusa, przy rewizji, znalezione brylant conajmniej 12 karatów wagi. I tym razem, jak widzimy, pozory okazały się zawodne.

Lecz powracam do moich spraw osobistych. Statystyka, oraz inne nauki mniej lub bardziej ściśle dowodzą, że większa część skarbów, niegdys była młoda. Ci właśnie tem łatwiej zrozumieją mnie, gdy rzeknę, iż w czasach młodości odznaczałem się temperamentem może zapalnym, lecz którego porwy łagodziła nadzwyczajna stałość moich uczuć.

Licząc 24-tą wiosnę życia, poznałem przelotnie ubogą szwaczkę, imieniem Agatę, córkę woźnego kolejowego. Jej matka (było to oczywiście w epoce przed wprowadzeniem monopolu) dzierżawiła w szynkowni Alela Comitammachera bufet, reprezentowany przeważnie przez główki śledziowe oraz trzy lub cztery skwaśniałe ogórki.

O sobie mogę nadmienić, że świeżo odziedziczyłem po s. p. rodzicach wielkie dobra i kapitały i to dawało mi stanowisko zarówno wybitne jak niezależne.

Znajdowałem się poprostu w możności schlebiania wszystkim swoim zachciankom, ponieważ dla młodzieńca pięknego jak anioł, wysoko wykształconego, potomka znakomitej rodziny i przytem bogatego jak Nabab — nie mogły istnieć przedsięwzięcia niemożliwe do dokonania.

Ujrzałem po raz pierwszy Agatę, gdy szła ulicą z pudłem napełnionem bielizną męską, damską i dziecięcą. Miała na głowie stary, spłowiały i połamiany kapelus; jej klasycznie zaokrąglone plecy okrywała chustka bardzo podarta i przypominająca kilkuwiekowy sztandar, sterany w bojach zwyciężkich.

Ogarnełem postać dziewczyny wzrokiem rozplamionym i wydałem okrzyk wewnętrzny, który setką przeciągłych ech, odbił się w mojej duszy:

— Ta, lub żadna!

I w tejże chwili obudziła się we mnie lwią zazdrość.

Długie noce listopadowe trawiłem na przewracaniu się bezsennem z boku na bok, przyczem wypowiadałem przynajmniej pięć razy na godzinę:

— Nie; bodajbym miał zginąć marnie, jej mężem nie będzie nikt tylko ja, który ją kocham pierwszym ogniem miłości, który przewycięża wszystko, wszystko, wszystko... Ona musi być moją, musi nią być bezwarunkowo!

Zazdrość z każdym dniem stawała się uporczywsza. Ona mi to podszeptęła pomysł zorganizowania bandy 60-ciu ludzi, których obowiązki polegały na śledzeniu każdego kroku Agaty.

Co wieczór, przełożony mojej armii wywiadówczyj składał mi raport, nieodmiennie tej treści:

„Mam zaszczyt zawiadomić J. W. Pana, jako Agata Lufcik, w dniu wczorajszym wyszła z mieszkania przy ulicy Piwnej o godzinie 8-mej z rana i skierowała się wprost do pracowni bielizny przy ulicy Długiej. Z tamąd, nie wychodząc ani razu w ciągu dnia, o godzinie 8 ej wieczorem powróciła do mieszkania swoich rodziców“.

Raz tylko w ciągu śledztwa trwającego półtrzecia roku, w raporcie znalazła się uwaga nadzwyczajna:

„Idąc do pracowni, zatrzymała się przed straganem, kupiła za 1 i pół kopiejki pestek od dyni i te jadła z apetytem“.

Powiem nawiasem, iż utrzymanie agencji kosztowało mnie rocznie 24,000 rub. Nadto na przestrzeni od ul. Piwnej do Długiej, zakupiłem 16 kamienic (każda w cenie 120,000 rub.), pragnąc tym sposobem dać możność moim ludziom, wyglądnia na przechodzącą przez dymnik Rzecz naturalna, że z moich domów usunęłem wszystkich lokatorów, ponieważ moje czynności domagały się tajemnicy.

Pozatem, codziennie, bez względu na porę roku i stanu pogody, drogę którą przechodziła moja ukochana, poleciłem uścielać różami i storczykami w gatunkach najrzadszych. Począwszy od września do końca kwietnia, kwiaty dowoziły pociągi nadzwyczajne, stale dla mnie kursujące pomiędzy Nizzą a Warszawą. To kosztowało mnie po 4—6 milionów rubli rocznie.

Po upływie dwóch lat doszedłem do przekonania, że ponieważ moje marzenia na drodze prostej nie mogą być ziszczone, wypadnie wazyć się na krok awanturniczy. Uczyniłem postanowienie niecofnięnie porwania Agaty gwałtem i ukrycia w zamku, którego urządzenie odpowiadałoby wymiarom moich uczuć wulkanicznych.

Jak wiadomo, zwycięstwo w podobnych rzeczach przeważa na stronę większej siły. Powędrowałem w świat daleki i tam zwerbowałem 360 awanturników, zdecydowanych na wszystko. Pensya, umundurowanie, uzbrojenie, zakup koni i t. p. pochłonięty kapitał około 3 milionów rubli. Od wczesnego rana do późnej nocy, moi kawalerzyści ćwiczyli się we władaniu bronią palną i sieczną, przyczem, na moje wyraźne zlecenie wydawali okrzyki, mogące zmrozić duszę człowieka, nawet najodważniejszego.

Teraz przystąpiłem do wybudowania wspaniałego zamku na gruntach obszarnych, zakupionych na krańcach miasta. Zamek był otoczony głęboką fosą i zawierał samych dzieł sztuki na sumę 16 milionów rubli.

Tak więc wszystkie przygotowania, zmierzające do ovladnięcia Agatą, zostały wreszcie uskutecznione. Pozostawało mi już tylko przeprowadzenie planu głównego.

Było to jak obszył w rocznię trzyletniej mojej miłości. Akt gwałtu miał się odbyć o godzinie 7 wieczorem.

Na trzy godziny przed tym terminem nadesłano mi zawiadomienie o ogłoszeniu mego bankructwa.

Przyszedł komisarz sądowy z dwoma świadkami i sprzedał literalnie wszystko na pokrycie moich długów w wysokości 2,367,411,584 rub. 16 kop.

Na licytację poszły nie tylko moje pałace i domy lecz efekty wojenne i inne.

Znalazłem się na bruku bez rubla w kieszeni. Przytem moje serce targają nieznosne bóle z powodu nie ziszczania się moich nadziei!

W podobnych warunkach żyć nie warto na świecie. Szedłem utopić się w najgłębszym miejscu Wisły.

Przy zbiegu ulicy Mostowej i wału spotkałem niemłodego człowieka w wyswiechtanej odzieży woźnego. Nie odrywając oczu od spławika wędkę, uważnie wysłuchał moich zwierzeń przedśmiertnych. W czasie gdy po wypowiedzeniu „a teraz żegnaj mi świecie!“, chciałem urządzić nurka, stary woźny powstrzymał mnie za ramię.

— Wiesz pan — rzekł tonem ojcowskim — a to trzeba być ostatnim kretynem! Kochać tyle lat Agatkę, roztrwonić olbrzymi majątek i nie przyjść wprost i nie powiedzieć:

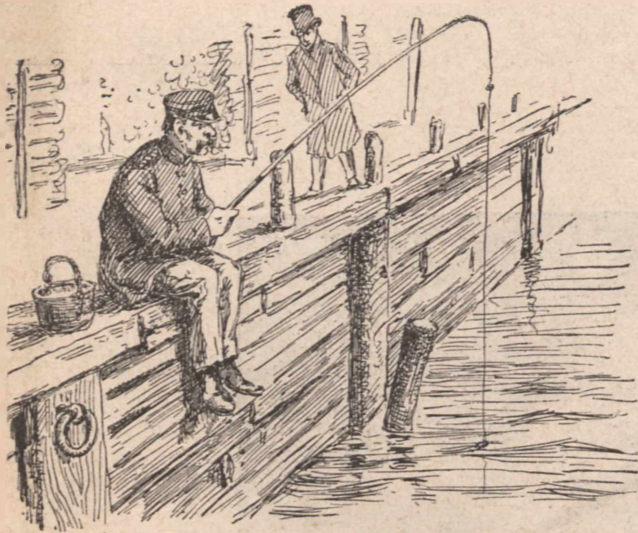
— Chodźże mała to się z tobą ożenię! Nie, wiecie państwo, że coś podobnego..

Pociągnął mnie za rękę.

— Ruszajże acan za mną. Agacie i tak nikt się nie trafia... Pójdzie i za bankruta, bo niema nic do stracenia. Powiem panu w zaufaniu, że ona wyszła-

by nawet za drwała. Gorzej jak obecnie być jej nie może. W każdym razie szkoda pańskich milionów wrzuconych w błoto!

F. R.



P. S. Na biurku pewnego agenta asekuracyjnego widziałem wielką, bardzo skomplikowaną maszynę, wprawianą w ruch przez dwóch barchystych oficjalistów. Machina sprowadzona z Ameryki kosztem 120 rub., służy do temperowania ołówków biurowych. Agent zachwalał przedemną wybitną praktyczność przyrządu. Przypuszczam iż i on musiał w młodości ubiegać się o rękę szwaczki Agaty.

Pigułki.

(Przed sklepem z gorsetami „M-lle Eudoxie-Spécialité“ spotykają się panowie X i Y)

PAN X. Jak się masz? Co tutaj robisz?

PAN Y. Ja? Po gorset dla żony.

PAN X. I ja także... Pewno wybieracie się do Karnawalskich?

PAN Y. Właśnie. A wy będziecie?

PAN X. Będziemy.

(wchodzą do sklepu).

PANNA SKLEPOWA. Co panowie rozkażą?

PAN X. Przyszedłem po gorset dla mojej żony, obstalowany przed dwoma tygodniami.

PAN Y. I ja również po gorset dla mojej żony.

PANNA SKLEPOWA. Ach, przypominam sobie. Panie były razem i obstałowały dwa jednakowe gorsety.

PAN X. No, znowu jednakowe? Moja żona jest dosyć... okazała.

PAN Y. (wzdychając). A moja szczupła.. Szczególniej tu, w białcie.

PANNA SKLEPOWA (uśmiechając się). Jeżeli mówię że jednakowe, to znaczy, iż z jednakowego materiału... Zresztą robione są na miarę. Panowie spoczna, w tej chwili przygotowuję.

(panowie siadają).

PAN X. A propos twojej pani. Czemu nie spróbuje kuracji? Teraz są takie zadziwiające środki. Ja tam w to bardzo nie wierzę, ale czemu nie spróbować.

PAN Y. Moja żona też próbuje. Teraz właśnie polecił jej ktoś z Paryża jakies pigułki... Czekaj, jak to się one nazywają?... Pilules...

PAN X. Mojej także się zdaje, że jest za otyłą i od dwóch tygodni prowadzi kurację. Przyjaciółka przysłała jej z Paryża pudełko pigulek na schudnięcie. Zaraz, jak to się one nazywają? Pilules... pilules... aha! zdaje się „somatine“... czy „hypatine“.

PAN Y. Tak! tak! „somatine“, teraz sobie przypomniałem... Mają być wyborne na utycie.

PAN X. Jaki na utycie? Te są na schudnięcie! Chyba tamte inaczej się nazywają.

PAN Y. Ale z pewnością „somatine“. Teraz sobie wyborne przypomniałem.

PAN X (śmiejąc się). A więc to „panaceum“! Jedni od tego chudną, inni nabierają ciała... Ot, błaża paryzka!... Niech tam sobie kobieciska w to wierzą...

PAN Y. Niech wierzą!.. Nic mi to nie zaszkodzi (śmieje się).

PANNA SKLEPOWA. Oto są opakowane gor-



sety. Ten—„dwa zera“ dla pani (podaje Y kowi), a ten „jedno zero“ dla pani (podaje X-owi).

PAN Y. Dobrze, biorę dwa zera...

(placą i wychodzą).

PAN X. Skorośmy się spotkali, wiesz co? może by tak wpaść na buteleczkę?

PAN Y. E, zaraz na buteleczkę! Przetnęliśmy kieliszku, zakąsimy coś i—na obiad.

PAN X. Dobrze, takie małe aperitifum.

(Wstępują do handelku. Aperitifum trwa jednak dobre trzy godziny i panowie są już z małą „muszką“).

PAN X. (spoglądając na zegarek) Ojoj, szósta! Będę miał kapelusz od żony. Trzeba machać!

PAN Y. Furda! Powiesz, że gorsety nie były gotowe i że musiałeś czekać.

PAN X. A prawda!.. Zupełnie zapomniałem o gorsetach. Żeby się tylko nie pomylić... Pamiętasz, które było twoje pudełko?

PAN Y. Pamiętam... Powiedziałem, że biorę zero... i biorę zero...

PAN X. Niech i tak będzie. Ja biorę dwa (wychodzą).

PAN X. Cóż, byliście na balu?

PAN Y. Nie. A wy?

PAN X. Także nie! Powiadam ci, to cała awantura. Moja żona chora.

PAN Y. I moja także. Wiesz co, miałeś rację, te pigułki są na schudnięcie.

PAN X. Ależ wcale nie! To ty się dobrze domyślałeś... one tuczą.

PAN Y. Ależ powiadam ci, że na schudnięcie.

PAN Y. Ależ zapewniam cię, że na utycie.

PAN Y. Przecież moja żona z tego zachorowała.

PAN X. I moja także. Mówiłem ci już przedtem.

PAN Y. No to nic nie rozumiem!.. A widziałem sam, bo mnie przywołała, jak gorset robiony na miarę wisiał na niej, jak oponczka... Mogła się nim dwa razy owinać. Jak ba... chciałem powiedzieć moja żona zobaczyła to, tak powiadam ci, krzyknęła: ach! i buch!.. Zemdlala... Powiadam ci, po dwóch tygodniach kuracji ubyło jej połowę... Ja tam tego tak bardzo nie widzę, ale ona powiada...

PAN X. Otóż, wyobraź sobie, u nas zdarzyło się coś wprost przeciwnego... Moja żona przymiera gorset, a dopiąć go ani rusz... Ciągnąłem, ile sił, ale nie mogłem poradzić... Aż myślałem, że ją apopleksya zabije... Nareszcie jak krzyknęła: „ach! o ja nieszczęśliwa!“ i rym... Zemdlala... Powiadam ci, przybyło jej drugie tyle, sądząc po gorsecie. Chociaż mnie się zdaje... ale koniec końców ona w rozpaczy. Pigułki wyrzuciła za okno, a ja mam piekło, jakbym co temu był winien.

PAN X. (wzdychając). O, i ja mam piekło!..

PAN Y. Teraz mnie żona posłała, żebym dał gorset do zwężenia

PAN X. A ja do rozszerzenia.

PAN Y. No to chodźmy razem.

(wchodzą do sklepu).

PAN X. (do panny sklepowej). Żona moja prosi, aby gorset jej znacznie rozszerzono.

PANNA SKLEPOWA (zdumiona). Jeszcze rozszerzyć?... To niepodobna!.. Gorset robiony na miarę i dopasowany ściśle do figury.

PAN Y. A moja żona prosi, żeby jej gorset zwężono i przysłała miarę.

PANNA SKLEPOWA (j. w.) Mamy zwęzić pani gorset?... To niemożliwe!.. Niech pan będzie łaskaw pokazać gorset. (rozpakowuje pudełko — zdziwiona) Ależ to gorset pani Iksowej! (rozpakowuje drugie pudełko) A to pani Igrkowej!.. (śmieje się) Panowie zamienili pudełka!..

PAN X. (spoglądając na pana Y.) Wiesz co? mnie to odrazu przychodziło do głowy...

PAN Y. (spoglądając na p. X.) Bodajże cię! omyliłem się o jedno zero... To, wiesz wtedy...

PAN X. (mrugając) Pst!..

PANNA SKLEPOWA (z uśmiechem) Niechże panowie teraz wezmą każdy swoje pudełko i będzie dobrze...

PANOWIE X i Y. (chórem) Za nic!.. Niech łaskawa pani odstawi je, a my się za parę dni zgłosimy.

PAN X. (nieśmiało) Gdyby zaś wypadkiem żona się wcześniej zgłosiła, niech łaskawa pani powie, że zaszło nieporozumienie... w magazynie i że gorsety są teraz dopasowane.

PAN Y. My będziemy umieli być wdzięczni.

PANNA SKLEPOWA (z uśmiechem) Skoro panom na tem zależy... (odstawia pudełka).

(panowie wychodzą).

Nix.



G. Le Faure.

SZTANDAR.

NOWELA.

Przekład z francuzkiego.



Zaledwie Klaudyna otworzyła drzwi do obory zatrzymała się nagle.

Zdawało jej się że usłyszała jęk cichy i słaby, zaledwie dosłyszalny, jakby kwile nie dziecka, idący z rogu obory.

Raczej zaciekawiona niż zaniepokojona stanęła na progu obory nieruchomie, z dwoma pustymi kubłami w rękach, z piersią podaną naprzód, z wyciągniętą szyją. Nasłuchiwała, starając się równocześnie przebić wzrokiem panujące w oborze ciemności.

Po chwili wzruszyła ramionami, pomrukując: „czy mi się śniło, czy co?“

W istocie nic nie było słychać w oborze z wyjątkiem ciężkiego oddechu bydła i brzęku łańcuchów żelaznych o cynkowe żłoby.

Wówczas powoli zeszła po trzech schodach, które prowadziły do obory i w ciemności z doskonałą świadomością miejsca skierowała się wprost do Krasuli, najpiękniejszej krowy ojca Louiset, uwiązanej w głębi, w prawym rogu obory.

Nagle zatrzymała się znowu, nastawiła uszu i słuchała. Teraz już nie myliła się. Z ciemnego otworu, prowadzącego do schowanka pustego, gdzie zwykle trzymali siano, szła ku niej skarga jękliwa, skarga rozpaczna, na odgłos której mrowie ją przeszło i dreszcz zimny.

Nie bała się zresztą o nie! Jej charakter mocny i mężny wznosił się ponad obawy, panujące po wsiaach i ogarniające dusze wieśniaków.

Ale obecność istoty ludzkiej w oborze, o tym czasie i w danych okolicznościach niepokoiła ją.

Tymczasem, podczas gdy starała się zdać sobie sprawę z tego wypadku, stojąc bez ruchu, prawie bez oddechu, jęk powtórzył się, ale jeszcze jakby cichszy, jeszcze bardziej smutny, jak ostatni jęk konającego.

Klaudyna postawiła kubły na ziemi i biegnąc do wąskiego okna, w którego rogu miała z czego wzniecić światło, zapaliła na prędce świecę, której drżący blask oświetlił oborę.

— Matko Boska! — zawołała.

Spostrzegła leżącego na sianie, lekko podpartego na łokciu i spoglądającego na nią żrenicami, rozszerzonymi już widziałem śniereci, mężczyzną — żołnierza.

Był to strzelec pieszy, młodzieńki jeszcze, małeńki, drobny, blondynek bez zarostu, jeden z tych dzieciaków, którzy w chwilach strasznych 1870-go roku, rzucali Wirgiliusza i Homera dla karabina, przeskakując odrazu z ławy szkolnej w szeregi żołnierzy.

Mundur podarty, powalany błotem, ręce czarne od prochu, z których jedna ścisnęła konwulsyjnie bagnę, a druga instynktownie broniła piersi, zwalanej krwią, twarz trupio błądą, na której dwie lzy ryły srebrzystą bruzdę — oto co Klaudyna ujrzała w jednej chwili, klęcząc przy nim z oczami pełnymi łez litości.

Patrzył ciągle na nią, a wargi jego poruszały się nieme, usiłując wymówić słowa, które do niej nie dochodziły.

Zrozumiała wreszcie, że ranny chce pić.

Wtedy lekko, jak łania, podniosła się, skoczyła i mniej niż w trzy minuty wróciła z kubłem, napelnionym po brzegi ciepłym i spienionym mlekiem. „Masz“ — rzekła.



Tanec murzyński „Cake-Walk“ tańczony na gruncie miejscowym w Ameryce.



Tanec murzyński „Cake-Walk“ tańczony w salonach paryzkich, gdzie jest obecnie najmodniejszy.

Delikatnie, z nieskończoną ostrożnością zbliżyła kubek do warg żołnierza, który począł pić chciwie z początku, potem wolniej, przerywając sobie, aby wznosić ku niej twarz bladą, bledszą jeszcze aniżeli mleczna piana, która okalała jego usta. Potem począł znowu pić, ciąglemi łykami, nie odejmując ust od kubka i oddychając głośno, jak bydlę u poideł.

Wreszcie przestał, odetchnął i rzekł: „dziękuję“.

Klaudyna postawiła kubek obok siebie.

Wtedy, bojąc się, że go opuści, wyszeptał głosem słabym i słodkim jak tchnienie:

— Przez litość!... nie opuszczaj mnie!

Brwi dziewczyny zmarszczyły się, jak gdyby słowa żołnierza obraziły ją, i powiedziała prawie ostro:

— Mamy prusaków w domu.

Słowa te wywołały przerażenie na twarzy strzelca; jednym skokiem znalazł się na nogach i z twarzą jeszcze bledszą, z błędnymi oczami wyjąkał:

— Którędy mam uciekać? Nie chcę, aby mnie wzięli!

Zrobił krok naprzód, lecz nagle zatrzymał się, zachwiał się na nogach, szeroko otworzył oczy, padł na wznak na siano i pozostał chwilę nieruchomy z ustami skrzywionymi w bolesnym ruchu i wargami zaróżowionymi potokiem krwi.

— Umarł! — zawołała przerażona dziewczyna. — Umarł.

I pełna litości i zgrozy nachyliła się nad nim, przyłożyła ucho do piersi, chcąc przez mundur dosłyszeć bicie serca.

Wreszcie dosłyszała, że serce bije, ale tak słabo, tak wolno, jakby zaraz miało przestać i zamilknąć na wieki. „Co robić?“ — pomyślała.

Z jednej strony, tak jak mówiła, Niemcy zajęli wieś od kilku godzin, a wiadano na zasadzie świeżych i strasznych przykładów, co czekało mieszkańców, którzy dawali schronienie rannym i zbiegom.

Ale z drugiej strony, czyż mogła zabić nieszczęśliwego? Bo oczywiście byłoby zabójstwem wypędzać go ze schronienia, do którego zaprowadził go przypadek. Na drogach leżał śnieg głęboki, a zimno zbijało go prędko z nóg, jeżeli oszczędziłyby go kule gęsto w okolicach rozstawionej straży.

Nie, nie może go wypędzić. Przedewszystkiem jest to żołnierz, a następnie... Następnie mundur przypomina Klaudynie dwóch braci, którzy tylko co zaciągnęli się do wojska. Może właśnie w tej chwili proszą o litość jakiegoś mieszkańca, niedaleko pola bitwy.

Klaudyna zdecydowała się prędko. Żołnierz zostanie w fermie póty, poki nie wrócą mu siły, aby był w stanie uciec.

Ale o obecności jego nie powie nikomu, nawet ojcu. Pragnie wziąć na siebie i na siebie tylko całą odpowiedzialność za swój czyn i samej tylko narazić się na kary, które może pociągnąć za sobą jej ludzkość.

Naprędee ułożyła siano w ten sposób, aby mogło służyć za tymczasowe łożo dla rannego, którego okryła końską derą, zarówno w tym celu, aby go zabezpieczyć od zimna, jak i ukrycia go przed wejściami niedyskretnymi.

Następnie napelniła kubły i wyszła z obory, starannie zamykając drzwi za sobą.

— Jakżeż długo siedziałas, Klaudyno! — zauważył stary Louiset, kiedy weszła do kuchni. — Ci tam niecierpliwia się...

I skinął głową ku wielkiej sali, z której dochodził piekielny hałas, ogłuszająca wrzawa zmieszanych głosów, brzęku szklanek i tłuczonych butelek oraz dźwięku pijackich piosenek. To oficerowie niemieccy wyrażali „bojaźń Bożą“ i „dobre obyczaje“ w kraju zwyciężonym.

— Nie mógł to ojciec sam ich obsłużyć? — odparła dziewczyna, której rysy ściągnął wyraz wstrętu i nienawiści.

— Wiesz przecież, że żądali koniecznie, abyś ty im usługiwała.

Twarz dziewczyny okryła się szkarłatnym rumieńcem, odrzuciła się w tył całym ciałem i odparła głosem, pełnym głuchego gniewu:

— A jeżeli ja nie zechcę?

Stary chłop złożył ręce i spojrzał na córkę błagalnym wzrokiem.

— Moja droga Klaudyno — jęczał — wiesz przecież... Nie chcesz naszej ruiny i śmierci.

I popchnął ją do drzwi.

Dziewczyna chwyciła swoje kubły i nagłym ruchem pchnęła drzwi do sali. Wejście jej powitał radosny chór ochrypniętych, przepitych głosów, sprośne żarciki i piosenki.

Stary Louiset usiadł w kącie na taburecie przy piecu, z kądem mógł pilnować córki nie będąc widzianym. Stary rozmyślał o swoich kłopotach.

Czy można być czegokolwiek pewnym z temi przeklętymi charakterami kobiecimi!

Cóż, że Niemcy! Czyż Niemcy nie są ludźmi, jak i inni? Nie mają takich samych mundurów, ale

to niczego nie dowodzi! A potem, taka ferma, jak jego, warta jest tego, aby Klaudyna kazała umilknąć swojej nienawiści. Czy nie prawda?

A w sali tłuczono butelki, szklanki. Biedna dziewczyna przechodziła z rąk do rąk, z zaciętymi zębami znosząc zaczepki, myśląc o biednym żołnierzu w oborze. Trzeba ułagodzić te dzikie bestie, bo inaczej gotowe zwrócić uwagę na to, co się dzieć będzie w domu.

Panowie oficerowie weselili się z niemiecką butą i z hałasem. Wesołość dochodziła kulminacyjnego punktu...

Wszędzie w fermie panowała martwa cisza. Po wieczorze, spędzonym na pijaństwie, prusacy chrapali rozciągnięci na materacach w sali na dole, albo zajmując pokoje na pierwszym piętrze; jeden z nich dzielił nawet łożo ze starym Louisetem.

A Klaudyna boso na zimnej podłodze izdebki, którą zajmowała na poddaszu, z uchem przyłożonym do drzwi nasłuchiwała, czy nikt się w domu nie rusza.

Czekała z pół godziny, wreszcie kiedy była przekonana, że niema się czego obawiać, cichutko uchylała drzwi i bez hałasu z tysiącami ostrożnościami zeszała ze schodów, wstrzymując oddech, przystając, ile razy skrzyknęły sprochniałe stopnie pod naciskiem jej nóg, przerażona, zdyszana, okryta zimnym potem.

Nareszcie dostała się do kuchni, przez którą przeszła na końcach palców, z oczami zwróconymi ku nawpół otwartym drzwiom od sali, z kądem dochodziło potężne chrapanie kilkudziesięciu mężczyzn, poczem znalazła się w podwórzu.

Saboty, które włożyła na progę kuchni, skrzyptały na śniegu. W wielkiej nocnej ciszy wydawało jej się, że hałas ten jest ogłuszający.

Kiedy zbliżyła się do obory, zdjęła ją przerażenie: a jeżeli żołnierz umarł!

Więc ze ściśniętym niby klezczami sercem, z gardłem przytłoczonym śmiertelnym niepokojem weszła do obory, ale zamiast zapalić świecę, co mogło być spostrzeżone i wywołać niepokój, pełnęła okiennicę i przez otwór wślizgnął się promień księżycy, który oświetlił wnętrze obory.

Żywo zbliżyła się do postania, na którym leżał mały żołnierz i położyła rękę na jego piersi: serce biło, a przez w półotwarte usta płynęła ciągle jękliwa skarga.

— To prawdziwe szczęście! — mruknęła półgłosem. — Przy takim zimnie...

Zrzuciła z ramion duży płaszcz z grubego samodziału, owinęła, a raczej otuliła weń rannego, jak małe dziecko, poczem otaczając go jedną ręką pod ramiona a drugą koło krzyża, zrobiła ruch w celu podniesienia go z nagłą a pełną obawy myślą że nie będzie dość mocna, aby go zanieść.

Ale mały żołnierz nie był ciężki. Ach, zupełnie nie ciężki, nie taki ciężki jak worki ze zbożem, które sama wywijała na górze w spiechrzu. Prawie z uśmiechem, z radością w sercu wzięła go na ręce, przyciskając go do piersi, aby go obronić od zimnego wiatru, który dał wściekle, i biegnąc szybko przemknęła się przez podwórze.

W czasie kilku sekund, które trwała przeprawa, serce biło jej jak młotem. Niech zaszczeka jeden z psów i obudzi śpiących, a będzie koniec z nią, z rannym, z jej ojcem z całą fermą. Prusacy nigdy nie żartowali.

Klaudyna bez przeszkody dotarła do drzwi kuchni.

Zostawiła tam saboty i weszła na schody, tak samo jak schodziła z nich, boso, ale wolniej, całą zimnym potem okryta, drżąc, że lada chwila spostrzeże przed sobą straszny sylwetkę żołnierza. Prócz tego, jakkolwiek była silna i jakkolwiek ciężar jej był lekki, dawał się jednak we znaki i wdrapywanie się było trudne, tembardziej że obawiała się głośno oddychać, aby nie zbudziła śpiących.

Kiedy dostała się na górę dusiła się prawie, nogi uginały się pod nią, ręce miała zmartwiałe, ale była taka zadowolona, że jej się udało, iż nie czuła swego zmęczenia.

Jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane komplikacje, mały żołnierz będzie ocalony! Uratowany od zimna i od rozstrzelania, a jeżeli Bóg chce aby zmarł od swojej rany, to przynajmniej umrze jak chrześcijanin, w ciepłym łożku i z ręką złożoną w

przyjacielskim ręku, zamiast zdychać jak pies w rogu obory, lub, jak wielu innych, niestety! w błocie rowów przydrożnych.

Po zamknięciu drzwi na klucz i okiennicę, zapaliła świecę.

Wielki Boże! Jakże był blady ten mały żołnierz, a zarazem jaki miłutki ze swymi delikatnymi brwiami, które czarnym przedziałem znaczyły matową bledość czoła i długimi rzęsami, które rzucały aksamitny cień na policzki, niegdyś okrągły i różowy, a dziś wychudły i powalany prochem. Zaledwie wysypujące się wąsy ocieniały zwierchniętą wargę skurezoną z bólu i obramowaną krwią, a włosy blond, chociaż krótko przystrzyżone, zdradzały skłonność zwijania się w naturalne loki, które kilka tygodni temu musiały ocieniać czoło młodzieńca.

A ręce i nogi były takie maleńkie! dłonie takie kruche! palce takie delikatne, prawdziwe palce dziecka, cienkie i dołkowane, pokryte cienką skórą, z paznociami dobrze utrzymanymi.

Klaudyna poczuła niezmierną litość, ogarniało ją przytem głębokie zdumienie.

Jakto? Więc taki mały się bił! Taki mały, że zda się mogłaby go zabić lekkim ruchem, a ona, ona taka silna, taka mocna, tak krzepko zbudowana ona nie mogła nic zrobić, tylko modlić się za tych nieszczęśliwych, którzy padali gdzieś tam daleko, kiedy chętnie mogłaby się bić, jak i oni.

Z jaką radością strzelałaby, a nawet szła na bagnety przeciwko tym lajdakom.

Myśląc ciągle o tych rzeczach, Klaudyna krzątała się po pokoju i kładła rannego do łożka.



Najpierw zdjęła mu buty, buty sadzone grubymi gwoździami na grubych podeszwach, z twardej skóry, stwardniałej jeszcze przez deszcze i śniegi, w których nogi, obleczone w cienkie wełniane skarpetki, spoczywały jakby martwe z zimna, przemoczone w lodowatym błocie, skrawione w biegu przez pola i lasy.

Potem przyszła kolej na spodnie, stwardniałe od wody i krwi. Ale z pieczołowitością macierzyńską Klaudyna zostawiła mu spodnie ubranie, pantalon wełniany, zrobione pewnie przez matkę, które miały zabezpieczyć chorego od powiewów wiatru, który dostawał się przez szpary w ścianach poddasza.

Ale bardzo trudne okazało się zdjęcie munduru liniowego, za dużego na niego. Przedewszystkiem palce żołnierza ciągle ścisnęły rękojeść bagnetu i było jej bardzo trudno odłączyć je od niego; skargi stawały się głośniejsze, w jękach było słycać niby protest i Klaudyna obawiała się, aby nie było słycać tych jęków na niższym piętrze.

Wreszcie, po wielu usiłowaniach, z wielką ostrożnością przedsięwziętych, broń została w jej ręku.

Ale zaledwie oswobodziła się ręka chorego, kiedy znowu ścisnęła się na piersiach, paznogie wraziły się w sukno munduru, jak gdyby zakrywały ranę lub broniły jakiegoś drogiego przedmiotu.

Klaudyna zmarszczyła brwi, przewidując walkę, jaką trzeba będzie stoczyć, aby do końca roze-

brać żołnierza. Gdyby wiedziała, że nie jest ranny, byłaby go poprostu położyła do łóżka. Ale plama krwi, skrzepniętej na suknie, wyżej koło lewego ramienia, kazała jej przypuszczać, że nie tylko zmęczenie powaliło chłopca, a Klaudyna chciała zobaczyć i opatrzyć ranę.

Z początku próbowała rozprostować palce, ale te wydawały się jakby stalowe i byłaby je raczej złamała, aniżeli doprowadziła do puszczania przedmiotu, który cisnęły do piersi. Wielkie krople potu wystąpiły jej na czoło, a serce ścisnęła rozpacz prawdziwa.

Co zrobić?

Nagle, wargi rannego otworzyły się i wymówiły, wyszeptaly raczej dwa słowa:

— Pić... pić!

Klaudyna wylała w filiżankę wodę z dzbanka, który stał w kącie i podała ją rannemu, który pochwylił chciwie filiżankę obu rękami i poniósł ją do ust.

Podczas gdy pił, dziewczyna prędko rozpięła mundur, ale zaledwie to uczyniła, wydała okrzyk zdumienia i cofnęła się.

Tam, na piersiach, w tem miejscu właśnie gdzie przed chwilą palce rannego zaciskały się konwulsyjnie, spostrzegła kawał materyi, brudny, zakrwawiony, podarty, a jednak łatwy do poznania po jego trzech kolorach.

Był to sztandar, a raczej to, co pozostało z niego, po walce.

Dreszcz ją przeszedł, lzy napłynęły jej oczy i nachylając się, pocałowała pobożnie pełną chwały szmatę.

Jak gdyby pocałunek ten, który dotknął materyi, odpowiadał sercu rannego, otworzył oczy i długo spoglądał na młodą dziewczynę.

— Jesteś uratowany! — rzekła.

Zdawało jej się, że blask szczęścia opromienił twarz żołnierza, który wyjął:

— Jest uratowany!... Dzięki ci za niego!

I przewrócił się na wznak.

Klaudyna szybko skończyła z rozbieraniem pacyenta i po wsunięciu go do łóżka, odpięła górną część koszuli, aby zobaczyć ranę. Na wysokości lewego ramienia, na skórze delikatnej i białej, jak jedwab, rozłożyła się czerwona plama, zaledwie trochę szersza od ręki, a w środku mały czarny otwór, zamknięty przez skrzep krwi i zdradzający drogę wejścia kuli.

— Biedny chłopiec! — wyszeptala rozczulona.

Zagrzała trochę wody, delikatnie obmyła ranę, poczem zrobiła bardzo prymitywny bandaż z kawałków grubego płótna, wyciętych z jej własnej koszuli.

Operacja ta zaraz odbiła się na stanie rannego. Zdawało się, że mu ulżyło: oddech stał się bardziej równy i spokojny, ręce, poruszające się nerwowo, spoczęły nieruchomie na kołdrze i twarz którą kurczyły bóle, uspokoiła się zupełnie.

Wtedy Klaudyna przysunęła do łóżka stary, kulawy fotel, w którym usiadła, postanawiając spędzić noc na czuwaniu przy łożu rannego. Ale zwyciężona przez zmęczenie głowa jej przechyliła się na oparcie siedzenia, — i zasnęła.

Już promienie słoneczne przenikały przez szpary w ścianach i okiennicach, kiedy młoda dziewczyna obudziła się, słysząc wymówione swoje imię.

Zawstydzona, że pozwoliła zaskoczyć się przez sen, a zarazem zdumiona, zwróciła się do łóżka: wyprostowany nieco i o party na łokciu, patrzył na nią ranny

— Panno Klaudyno — rzekł głosem słodkim, którego srebrzysty dźwięk przypominał głosik dzieci nny — panno Klaudyno, wołają panienkę...

W tej chwili właśnie rozległ się w klatce schodowej ochrypnięty głos starego Louiset.

— Klaudyno!...Klaudyno!...—wołał farmer;—czy ty zejdziesz raz nareszcie... Czekaj, próżniaku!... Czy mam sam iść po ciebie?...

Dom cały zadrżał od straszego przekleństwa. Żywo dziewczyna stanęła na nogach, pobiegła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła:

— Zaraz... zaraz idę!

Potem zamknęła drzwi i wracając do łóżka:

— Jakże tam?—zapytała, spoglądając z niepokojem na twarz rannego.

Ten, nie nie odpowiadając, wziął rękę Klaudyny i, zanim mogła temu przeszkodzić, pocałował ją:

— Dobra jesteś! — szepnął.

Zarumieniła się, zawstydzona może tą pieszczotą, która wydała jej się nieproporcjonalną do oddanej przysługi. Była raczej zmieszana wrażeniem pocałunku delikatnych ust dziecka na zgrubiałej i spalonej skórze robotnicy.

— Jesteś dobra... — powtórzył. — Bez ciebie .. byłby wpadł w ich ręce.

Zrozumiała, że mówił o sztandarze, którego kawałek wyglądał przez rozpiętą koszulę i ścisnąc pięścią, mruzczała przez zęby:

— Ach, ci zbrodniarze!

Ogień błysnął w dużych jasnych oczach chłopca, który powtórzył głuchym głosem:

— Ach, tak, zbrodniarze! Gdybyś ich była widziała wczoraj, kiedy otoczyli nasz batalion, byłabyś powiedziała, że to wilki. Rzucali się na nas!... Ach, była to straszna przeprawa. Ja widziałem takie rzeczy po raz pierwszy. No, i nie mnie to nie wzrusza... z wyjątkiem wszakże, kiedy bagniet mój wszedł w gardło jednego z tych ludzi; wtedy byłem bardzo przejęty. Pomyśl sobie, że miesiąc temu nie mogłem patrzeć, jak zabijali królika. Ach ile sobie wsadzono uderzeń widelca—jak mówił sierżant mojej sekcji...

Klaudyna uśmiechnęła się. To wyrażenie starego wojaka było tak śmieszne w ustach tego ucznia.

— Klaudyno! Klaudyno! — wrzeszczał stary Louiset. — Idę na górę.

(Dok. nast.).

Dwór w Marokko.

Państwo marokańskie, powstałe wskutek wyrzucenia Maurów z Hiszpanii, siedlisko najciemniejszego bodaj fanatyzmu mahometańskiego, dosyć luźny zlepek różnorodnych plemion koczowniczych, jest pomimo swego małego oddalenia od Europy jednym z najmniej znanych ognisk życia muzułmańskiego. Dziś zwraca ono na siebie uwagę powszechną z powodu powstania, które tam wybuchło. Ale znamy tylko zewnętrzną stronę wypadków, nie wiemy nic, albo wiemy niedokładnie jakie są ich ukryte sprężyny, jakie są czynniki współzawodniczące, jakie jest tło, na którym wypadki się rozgrywają. Chcemy dziś zaznajomić czytelników z jednym z tych czynników, nie mało ważnym w państwie absolutnem, mianowicie z sultanem i jego dworem.

Sultan jest postacią niewątpliwie bardzo ciekawą, chociażby ze względu na swą podatność dla wpływów europejskich, a jednak, jakże mało o nim pisano. A przecież i ze względu na swoje pochodzenie mógłby stanąć obok niejednego z książąt panujących w Europie. Ród swój wywodzi, od samego proroka przez Fatimę i Alego. Jest on z tego niesłychanie dumny, pretendując do tytułu kalifa, czyli władcy wiernych.

Dynastia, od której Abdul Azis pochodzi w prostej linii, rządzi absolutnie państwem od połowy XVII stulecia, kiedy syn szeryfa, który uciekł z Arabii, został sultanem Siżilmany w Taflecie. Następcy jego połączyli całe państwo marokańskie pod jednym berłem: jako wspomnienie czasów pozostał jeszcze tytuł sultana Fezu i Marakeszu. Od tego czasu na tronie zmieniło się 15-tu władców z tej rodziny, o których naogół nie można powiedzieć wiele dobrego, niektórzy zaś odznaczyli się wręcz zlemi czynami. Rekord w tym kierunku wziął Mulej Izmail. Ambasador francuzki, ówczesny hr. de St. Olon opowiada, że zabił własnoręcznie 20 tysięcy ludzi. Jedną z jego najmiłszych rozrywek było przebijanie lancą osób ze swego otoczenia najbliższego w czasie kiedy ich zaszczycał swoją rozmową. Jakże miał daleko sięgające zamiary, o tem świadczy fakt, że do Ludwika XIV wysłał poselstwo z prośbą o rękę jego córki. Odmówiono mu—może ze względu na poprzednie, żyjące kilka setek żon, a szkoda, nie miałyby dziś Francya kłopotu. Grób jego w Mekuas jest miejscem pielgrzymek, a on sam został zaliczony w poczet muzułmańskich świętych. Co kraj to obyczaj!

Ojciec obecnego sultana Mulej el Hassan był mężem wybitnych zdolności. Zdawał sobie doskonale sprawę ze smutnego położenia swego kraju, ale nie udało mu się zaprowadzić w nim porządku w czasie 20-letniego panowania. Jakkolwiek jednak leżało mu na sercu dobro kraju, to jednak bardziej cenil swoją kieszeń. Utrzymanie świetnego dworu w Marokko kosztuje tak wiele, że sultan musi pozwalać urzędnikom swoim wyciskać z poddanych swoich jak największe summy; po śmierci majątek urzędników przypada sultanowi. Podróźny angielski W. B. Harris opowiada następujące zdarzenie: W czasie pobytu sultana w Taflecie jeden z większych gubernatorów, znajdujący się w jego świącie, zmarł nagle. Otoczono zaraz wojskiem jego namiot, bo wszystko, co było w nim, łącznie z żonami, stało się własnością sultana. Otóż traf chciał, że właśnie poprzedniego dnia gubernator odebrał daninę od swego plemienia, ponieważ jednak nie zdążył jeszcze oddać jej sultanowi, więc pieniądze zostały uznane za własność prywatną i skonfiskowane. Nieszczęsne plemię musiało po raz drugi zapłacić daninę nowomianowanemu gubernatorowi, a wkrótce potem po raz trzeci, aby pokryć koszt zakupu urzędu, bo w Marokku bardziej dochodowe miejsca są przedmiotem handlu. Historia ta odkrywa nam rąbek zastłony, za którą kryją się przyczyny powstania; plemionom łatwo przykrzyć się może taki sposób pobierania podatków.

Mulej el Hassan zmarł w r. 1895 w szczególnie tragicznych okolicznościach. Wyruszył on na wyprawę wojenną do centralnych prowincji swego państwa,

przeciwko zbuntowanym plemionom. Otoczony ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół zmarł, nagle w strasznych boleściach, samotny, bez pomocy lekarskiej. Śmierć jego była tajemnicą dla całego otoczenia, z wyjątkiem zaufanego sługi Si Ahmeda. Cofano się do stolicy. Z całą pompą przepychu wschodniego niesiono i wieziono w zamkniętej lektyce trupa, pod pozorem, że władca nie chce się nikomu pokazywać; nawet potrawy wracały z namiotu, czy lektyki napoczęte. Tymczasem przez piaski pustyni biegł posłaniec setki mil do Rabatu, powołać na tron Abdul Azisa. Tak chciał Si Ahmed, a miał za sobą i prawo, i zwyczaj i siłę. Prawo pozwala, aby sultanem został jeden z krewnych, zatwierdzony przez dostojników dworskich, starodawny zwyczaj składa to zatwierdzenie w ręce najpotężniejszych lub najpotężniejszego, a siła potrzebna jest do przeprowadzenia planów. Wdzięczny Abdul Azis mianował si Ahmeda wielkim wezyrem, i on to rządził samowładnie państwem i sultanem, trzymając go żelazną ręką, a bezlitośnie gnębiąc wszelkie objawy oporu. Do czasu śmierci Si Ahmeda, w r. 1900-ym panował w Marokku porządek, oczywiście na sposób wschodni. W tem samym znaczeniu był zmarły wezyr istotnie wielkim mężem stanu.

Zatem dopiero od dwóch lat młody, bo dwudziestoletni dziś sultan, samowładnie rządzi swoim państwem. Ale i to przejście władzy nie odbyło się bez krwi rozlewu. Cały szereg wezyrów, ministrów, urzędników znikł bez śladu, według wschodniego sposobu otrzymywania dymisji... z życia. Dużo było zmian i małych rewolucji pałacowych, zanim wypłynął na powierzchnię młody Kaid Mehedi el Menebhi, który na czele nadzwyczajnego poselstwa udawał się w r. 1901 do Londynu.

Ostatnie opisy powierzchowności sultana przedstawiają go nam jako młodego człowieka bez brody z dwoma lokami, wyglądającymi z pod turbanu. Kompleksja jego nie jest zbyt silna; na twarzy rozlana jest zawsze chorobliwa błądź. Sultan jest zapalonym sportsmanem w dwóch kierunkach: doskonale jeździ konno i na bcyklu. Wogóle najnowsze i najmodniejsze wynalazki europejskie bawią go bardzo i mają w nim wielkiego zwolennika. Między innymi jest zapalonym fotografem amatorem. Zajmują go nie tylko zdjęcia; wywoływanie klisz, utrwalanie obrazów, nawet naklejanie fotografii wykonywa własnoręcznie. W zbiorach jego są podobno bardzo ładne zdjęcia, przyczem sultan nie zawsze szanuje przepisy Koranu, który nie pozwala na reprodukowanie rysów twarzy i postaci ludzkiej. Dlatego też ulubione zajęcia sultana wywołuje tak fanatyczne niezadowolenie ludności. Tak samo Abdul Azis jest zapalonym zwolennikiem automobilów i wogóle nie zamyka oczu na rozmaite przyjemności cywilizacji europejskiej. Powszechne oburzenie w kołach prawowiernych wywoływało zachowanie się sultana w czasie pobytu w Fezie cyrku i trupy tancerek i szansonistek paryzkich.

O jego życiu prywatnem krąży bardzo mało prawdziwych wiadomości, gdyż sultan najchętniej spędza dni w samotności, w swoich pałacach i ogrodach. Bardzo rzadko mają do nich dostęp poselstwa europejskie. O ile z ich sprawozdań sędzić można, ogrody te to prawie dzikie parki. Zamiast trawników, całe przestrzenie pokryte są gęsto rozrośniętym zielnikiem, z którego wystyrzelają pnie drzew pomarańczowych, oliwkowych, mandarynkowych, cyprysów i t. d. Wszędzie pełno wody, stawów i strumyków, szemrzących po kamieniach. Tu i owdzie błyska wieżyczka małego pałacyku, a z nich niektóre są prawdziwymi arcydziełami sztuki miejscowej. W nich to sultan, siedząc na poduszkach z podwiniętymi nogami, przyjmuje poselstwa zagraniczne, przyczem daleko więcej bawi go widok oryginalnych hełmów i mundurów, aniżeli poważne powitania i mowy o traktatach handlowych, o przymierzach politycznych i prawach międzynarodowych.

Oczywiście sultan ma wiele żon, ale największy wpływ na niego ma matka, rodem z Kaukazu, wychowana w Turcyi. Ona to zwróciła uwagę syna na cywilizację europejską, wówczas bowiem Abdul Azis tak głęboko tkwił w przesądach wschodnich, że kiedy otrzymał przed kilku laty list królowej Wiktorji, chwycił go w rękę przez połę opończy, aby nie skalać się dotknięciem pisma niewiernych. Jak wi dzieliśmy zmienił się bardzo prędko i radykalnie, co nie bardzo świadczy o stałości i sile charakteru.

Największy wpływ na dworze miała Anglia za pośrednictwem dwóch swoich synów, bardzo zbliżonych do sultana, dowódcy gwardji Mac Leana, i miejscowego korespondenta *Timesa*, który jest zarazem pośrednikiem handlowym. Oni to zachęcali sultana do ekscentrycznych ze stanowiska Koranu czynów i do lekceważenia opinii poddanych. Obecne wypadki są po części owocem tej nierozważnej polityki, to też wpływ Anglii na dworze już znacznie zmalał.

Tak więc bezprawie w stosunku do poddanych, brak silnej władzy, na czele państwa postawiony człowiek lekkomyślny, dziecinny, lekceważący tradycje

najdroższe swego narodu, a nie umiejący siłą zapewnić sobie powagi—oto przyczyny obecnych wypadków. Pretendent jest tu przedewszystkiem przedstawicielem wiekowych obyczajów i wiary mahometańskiej. Plemiona idą za nim w imię tych hasel, bo są zbyt sceptyczne, aby się spodziewały zmian na lepsze, ukrócenia wyzysku i nadużyć, na których stoją państwa mahometańskie. Weszły one tak dalece w obyczaje tamtejsze, że zapewne te zjawiska, które nam się wydają nadużyciami, uważane są tam za normalne. Sztandar powstania wznosi się zaś wtedy, kiedy przebierze się miara cierpień, albo też służy ono za sposobność do zarobku w postaci łupów. Że zaś przy tej sposobności spadnie więcej głów, o to nikt się tak dalece w tem fatalistycznym społeczeństwie nie troszczy.



Ś. p. Aleksander Krajewski.

KRONIKA MODY.

(L. N.) „Moja droga, jestem w rozpacz! Wyobraź sobie: W nadchodzący wtorek zebranie tańczące u nas, we czwartek wieczór u wujostwa, a w przyszły poniedziałek bal u Stasiów, więc sztych kropny, cała śmietanka się tam wybiera!... Mam co prawda trochę strojnych łaszków, tatuś dał (hélas!) niewiele monety na balową sukienkę, ale jak to „wszystko pokombinować? kto to wszystko wykończy, jak to ma być zrobione? Głowa mi trzeszczy, „ach ten karnawał!...“

Tak biadała jedna z moich serdecznych, dodając: „Musisz mi poradzić, przecież tyś specjalistka, „do kogóż pójde jak nie do „ciebie? Weź mnie w swoją „opiekę, a wszystko będzie „dobre i piękne.“



Fig. I.

I zaczęłyśmy poważną konferencję, a że takich zakłopotanych musi być sporo w obecnym czasie, więc postanowiłam ową naradę, mieszczącą całą moją kronikarsko-karnawałową wiedzę, uczynić jawną i dostępną dla wszystkich moich serdecznych czytelniczek.

A więc trzy rodzaje towarzyskiego zebrania: Tance w domu rodzicielskim lub u siebie, jeżeli się już jest mężatką — tańczący wieczór u krewnych i bal u eleganckich przyjaciół.

Oto pole walki — a amunicya?... Przedewszystkiem należy spożytkować tę zapasową, bo któraż z nas, choćby w najskromniejszych swoich bojowo-tualetowych szykach, nie posiada trochę tego zapasu?

Trzeba tedy spenetrować wszystkie szafy i szafki, kufry i kuferki, wyjąć na światło dzienne wszystkie, choćby już dobrze podniszczone fatalaszki i osądzić coby się z tego zrobić jeszcze dało? Zawsze podszewka, choć w średnim gatunku, przydać się może, a w dodatku jakaś wstążka i aksamitka, jakaś girlanda lub wiązanka kwiatów, które się daje do odświeżenia, nadto jedwabne pończoszki i t. d. i t. d. To już jest; tego nie trzeba kupić, więc rubelki na co innego obrócić można.

Czy to młoda mężatka, przyjmująca u siebie, czy panienka w domu rodzicielskim, powinna na zebranie domowe ubrać się jaknajskromniej.

Ładnie, świeżo, gustownie, ale bez wielkiego wyszukania. Na ten cel są jakby stworzone leciuchne bluzki z muślinu, krepy, gazy, lekkiego jedwabiu *Liberty* (te ostatnie muszą być ubrane koronką lub gazą), trochę wycięte z półdługimi rękawami. Do takiego bluzkowego staniczka jasna spódnica, także

lekka, muślinowa lub jedwabna, jeśli zebranie większe; wełniana w kółku poufniejszem, ale jasna koniecznie, ładny elegancki secesyjny pasek wydłużający talię, aksamitka na gołej szyjce i niezmiernie mało biżuterii, najwyżej sznureczek pereł i jakiś niewidoczny *porte-bonheur* jako bransoletka. Tak ubrana będzie moja przyjaciółka, dziewiętnastoletnia blondynka o pięknych habrowych oczach, na rodzicielskiej tańczącej herbacie. Jeszcze jeden zapomniany szczegół. W nizko upięte złote sploty wepnie parę blado-różowych świeżych róż. Te róże przyniesie On, bo właśnie od tygodnia Jemu wolno już przynosić kwiaty, a jej ozdabiać paluszek pięknym rubinowym pierścieniem zaręczynowym.

Na tańczący wieczór do wujostwa wymyśliłyśmy tualetę, której wzór załączam moim czytelniczkom (patrz fig. V). Mama znalazła kilka metrów starożytnej angielskiej gipiury, tak bardzo teraz modnej, podwłóczkę niebieską (zeszłoroczny zabytek), trochę się kazalo odświeżyć, kupiłyśmy 12 metrów *mousseline de soie* w niebieskie grochy; całość będzie prześliczna.

Z tualetą balową do „Stasiów“ trudniejsza sprawa. Bal, choćby nie publiczny, ma już większe wymagania. Ułożyłyśmy skrupulatnie (ale skrupulatnie po kobiecemu) budżet, wybrałyśmy się na miasto, a po paru godzinach wszystko było w najzupełniejszym porządku, tylko nastąpił bardzo poważny krach finansowy, no, ale tatuś dał się łatwo przekonać ukochanej jedyńaczce, tylko mnie się trochę dostało bury za gust mój „dobry lecz kosztowny,“ a jedyńaczka zrobi furorę u „Stasiów“ w tualetcie następującej:

Biała gaza pasowana haftem szwajcarskim z St. Gall, koloru *vert d'eau* w secesyjne roślinne motywy, taki sam staniczek, podwłóczka z leciuchnego jedwabiu *vert d'eau*.

Prześliczne są te hafty na gazie i taka suknia jest najodpowiedniejszą na balową dla młodej panny.



Fig. III.

Obecny sezon można śmiało nazwać „królestwem koronek“; nigdy jeszcze nie noszono ich tyle i tak pięknych; powyciągano je ze wszystkich kryjówek, wszystkie gatunki, wszystkich narodowości, i to nieraz w połączeniu, jak na przykład całe koronkowe suknie Chantilly z inkrustowaną koronką irlande. Gipiury angielskie ubierane *point de Venise* lub *point d'alençon*, jednym słowem koronkowy kosmopolityzm w całym znaczeniu.

Suknie ślubne, o których także pomówić trzeba, odznaczają się w tym roku wykwintnym gustem i elegancją. I tak jedna z nich, ta najwspanialsza, była istotnie olśniewająco piękną. Biała atlasowa podwłóczka, kształtem *princesse*, cały tren olbrzymi, zagarniowany białymi, z *mousseline de soie*, niezmiernie suto marszczonymi falbankami, na spodzie szata z białego *crêpe de Chine*, tego najdroższego, o srebrno-matowych odcieniach, inkrustowana białą angielską gipiurą w niezmiernie misterne motywy. Stanik bluzkowy, zakrzyżowany *à la vierge* z *crêpe de chine* z taką samą gipiurą, rękawy pół długie. Welon z koronki *point d'alençon*, przykrywający całą suknię, a zapuszczony na twarz, girlandka małeńka z kwiatu pomarańczowego. Przypuszczam, że cena wyniosłaby tysiące rubli.

Druga o wiele skromniejsza, przystępniejsza, a bardzo elegancka i tę właśnie zalecam panie Lenie W. Na białej jedwabnej podwłóczce *princesse*, biała plisowana gaza, ogromny tren zaruszowany białą gazą, staniczek marszczony, pod górę, rękawki pół długie, welon z pięknej *illusion*, obszyty koronką saską. Żabot i garniowanie rękawów z koronki saskiej.

Trzecia zupełnie skromna. Białe atlas *Liberty*, cała gładka suknia *princesse*, z dużym trenem, podgarniowanym cienkim muślinem zwyczajnym. Stanik gładki wydłużony z przodu, kształtem *longuros*, przy



Fig. II.

szy falbanka *mousseline de soie*, tak samo garniowane rękawy. Welon z *illusion*, na głowie girlandka mirtowa, przy boku mirt.

Chwila, w której ten strój przywdziejesz, śliczna, czytelniczko, jest świętą i poważną, bo splata życie twoje „z wolnej a nie przymuszonej woli“ z tym, którego dotąd znasz tylko jako dansera, odzianego we frak nieposzlakowanego kroju.

Co potem nastąpi?

Oto ujrzyś go nieraz w szlafroku! Jak Filip Derblay z „Właściciela kuźnic“ stanie przed tobą, z kodeksem w ręku..

Wówczas i ty, moja miła czytelniczko, nie powinnaś już lśnić ani atlasem, ani koronkami, ale przywdziać szlafroczek z białego lub różowego fularu, obłożony miękkim futerkiem.

Figura I. *Kapelusz Bolero hiszpańskie* (model paryżki). Czarny aksamit, przybrany na główce białą hiszpańską koronką, cały ranwers kapelusza wycięty w okrągłe zęby, pokryte takąż koronką, na lewym boku potrójny rząd aksamitki czarnej, zakończony puklem przy włosach, na prawym zaś boku, trochę do tyłu odsunięta wielka *aigrette* z marabutów białych, zakończona przy kapeluszu trzema krótkimi piórkami strusimi, całość takiej *aigrette* nazywa się *un bouquet*.

Figura II. *Kostium spacerowy* (model londyński). Jasnopopielata *drap de soie*. Spódnica obcisła od góry, silnie rozszerzona od dołu, przez dosyć głębokie *crevés*, przytrzymane u góry i wzdłuż silną stebnowką. Bolero z kołnierzem, ranwersami i szerokimi mankietami z *chinchili*. Z pod futrzanego kołnierza widny kołnierz z sukna, spadający na ramiona, na piersiach żabot koronkowy. Czarny aksamitny pasek, klamra srebrna oxydowana *art nouveau*, kapeluszek płaski, rodzaj szerokiego bolera, z jasnopopielatego filcu, z czarnym aksamitnym obłożeniem, pompon z czarnej szneli na boku. W rękach eleganckie *en tout cas*.

Figura III. *Tualetta balowa*. Białe lekkie *satin liberty*, i czarny jedwabny materiał zwany *éffilet*. Spódnica przymarszczona przy pasku, opada ku dołowi w dużych fałdach trochę powłóczystych, dolna część spódnicy przykryta tą leciuchną siatką, tworzącą jakby marszczoną falbanę, przytrzymaną u góry małeńką jedwabną ruszą. Na samym przodzie sukni, rodzaj pasa, sięgającego aż do falbany, z białego atlasu, haftowanego w czarne małe gwiazdki lub kwiatki, zakończonych czarną wąską frendzlą lub haftem. Stanik bluzkowy, cały pokryty *éffilet*, na staniku przybranie według wzoru, wykonane zupełnie tak jak pas na sukni, rękawki tworzą bufę, rękawiczki do łokcia, pasek wydłużający figurę biały atlasowy, w rękach mały kościany wachlarz, we włosach czarna aksamitna kokardka.

Figura IV. *Suknia wieczorowo-balowa dla panienki*. Białe lub jasno-różowe *mousseline de soie* na białej lub różowej podwłóczce, staniczek bluzkowy, talja wydłużona z przodu, pasek różowy atlasowy przy okrągłym skromnym panięńskim wycięciu stanika, girlanda z róż centyfolii, bez liści, spódniczka marszczona z tyłu, ubrana u dołu dużą, bardzo gęstą ruszą z *mousseline de soie*.

Figura V. *Suknia wieczorowa dla panny*. Jasnoniebieska *bleu turquoise* gaza, w ciemniejsze nieco, sznelowe grochy. Spódnica odcinana, lekko przymarszczona z tyłu i na biodrach. Duża, silnie faldowana falbana, po nad nią koronka irlandzka *éruie* w duże spiczaste zęby. Stanik bluzkowy, przybrany zębem z koronki, rękawy tworzą dwie bufy, spięte koronką. Czarny aksamitny pasek.

Odpowiedzi, przepisy i t. d.

Pannie Lenie W. z Miechowa. Właśnie w dzisiejszej kronice pomieszcim opis trzech sukien ślubnych: bardzo strojnej, średniej i skromnej. Ma pani w czem wybierać. Polecam tę drugą—jest prześliczna.

Pani Roż. z Goliny. Sposób łatwy i nieszkodliwy. Całą powierzchnię splamioną zechce pani namoczyć na parę godzin w odpowiedniej ilości czystego (bez wody) soku cytrynowego, bardzo gorącego. Następnie w odpowiednim, byle nie żelaznym naczyniu, wygotować tę plamę w tym samym soku, w którym mokła, sprać kilka razy w wodzie z sodą. Atrament zniknie bez śladu. Naturalnie tylko z koloru białego.



Fig. IV.



Fig. V.